

Krystyna Budzyńska

ps. Anna
1922 - 1944



BŁYSK ŻYCIA

1941-1944

WIERSZE

Sonet 1

Na senne kanały parku, o wodzie
zastygłej — w zielone spięte kożuchy
— Odbicie niosą jesieni urodzie
drzewa spowite w złoty liść kruchy.

Zgęszczone opary mgłą biją z toni
pod kapitele smętnych pni, — kolumny;
sklep gęsty znad wód purpurą się płoni,
leci i gaśnie blask na wieko trumny. —

A potem wszystko splot rzęsy ukryje
I w sadzie korę operłą w desenie
i już butwieje, co było — i gnije.

Po świecie pełzną jeno kształtów cienie, —
w duszę się wsącza smutek — jadu grono
twarz niby jesień — cichą ma — zamyśloną.

1941/42

Sonet 2

Cyklon — choć skrzydły zniszczenie ogarnia
świata zagony i słabe żywioty,
choć orkan biczem wali w gwiazd latarnie
w sercu nad bunt, — martwość włada pospołu

Grom, — gdy uderza — i wstażki błyskawic
splotą się w warkocz między chmur odmęty,
— głos na organach, — jak od Bożych prawic —
— A potem ciszy martwej — wiew ucięty. —

Las ... — czub chojara sąsiedni potrąca;
Niesie przez wiatru szum, liście kolebie;
— dołem ich gubi się barwa gasnąca.

I w tony wzrasta, — poszyciem na glebie ... — — —
— I ty choć myślisz, żeś jest cały — szalem —
— powiesz: — swej ciszy nigdy nie poznałem. —

1941/42

Sonet 3

Wieczorem — w zimę śnieżną — lasu tajemnica
między kosmate łapy świerków się przeziera —
— od drzew łagodną smugą, mżąca cieni sfera
pada — i barwą liliową lśni jodły przyłbica. —

A kiedy blask przesiany, — ócz wilczych gromnica
blask z łun zachodu, co już w krąg zamiera
ogniem fosforyzuje w krzaczach, — obawa szczerza
w lęku zatapia serce, jak mroczna kostnica. —

Odpędzam dłonią strachy, gdyby nietoperze
zerwą się i skrzydły z błony kołują nad głową;
— pod białym świerkiem zawieram z szarakiem
przymierze.

Pod białym kapiszonem z polewy różanej,
— Na długie słuchy i na mnie brylanty iskrzące
sypią wiewiórki w skoku na gałązki gnące.

1941/42

Sonet 4

Biegnę z płonąca żagwią i biegną miliony,
Ogień w ciemnościach krwawe rozlewa pożary,
— płonie pochodnia: — jedna, dwie, tysięczne pary
i słupem bucha w górę blask niezwyczężony. —

Tłum, — z miotem w rękę Twoje uderza zakony
i w progu nagim krzesze błyskawic sztandary
Tyś sam, — przed zgrają jeden, z wiecznymi zamiary,
co w gruzy ścielą; z prochu układają trony. —

Ty ciągle patrzysz w nasze skarłate oblicze
w przekłętą ogień poznania, co nam umysł trawi
i chęci nocą wzrosłe, chwasty buntownicze
nie strącisz z aniołami, jak kiedyś — lecz zbawisz!

— Bracie! Wejdz, ale — trwał-żeś w bezprawiu tej pory
w jej cichym wnętrzu wody, spełnim ze źródła pokory.
Śmierci! — gdy drogi nasze zejda się raz wtóry
osnuj mnie niepamięcią — w czarne kiru pióry.

1941/42

Sonet 5

Bóg zerwał złoty nagietek i w dłoni trzyma
nędną roślinkę, co zwiędnie, jako płatek róży,
gdy pada z wieńca nad czołem, — blady, — nie-
duży
pod stopy — maleńki ślad człowieka olbrzyma. —

Bóg zerwał złoty nagietek i żal się Go ima
by umrzeć miał tak lichy kwiat — niech innym służy.
— po gwiazdach nocy wiecznej — los mu przysły
wróży

Pan — i płątkom leciuchnym obietnic dotrzyma.

Bo ledwie jeno pomyśli! — duchy zespolone
w miłości nieskończonej Serafy — tlejące
z nimbów przejasnych świętą utkały koronę

na biedne skronie kwiatu — i zabłysło słońce
— — — a Bóg je z rąk strudzonych zaszczeplił w
ugorze
niebios, — gdzie falą nęci wielkie święte morze. —

1941/42

Sonet 6

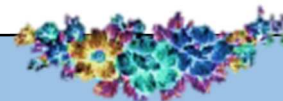
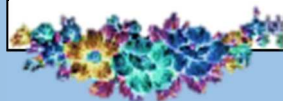
Gdy pod lipami na prostej siadywał ławie
dziadek stareńki — odwieczne lubił ustronie
i często królem zwał się — w lipowej koronie
przez żarty jeno blahe — wieczorem przy kawie —

Odszedł drogi przyjaciel, już rok minął prawie
— za akacjowym murem cmentarz w słońku tonie
— pamiętasz? — One kwitły w krąg przy Jego zgonie
i białe grona ciężko padały w murawę. —

Pod lipami — jak dawniej kamienna ławeczka,
Stół kolisty — mchem burym i liściem usłany
— Gdyby nic — zda się — jeszcze tam leży ksią-
żeczka.

Nóż do przecinania stronic — i autor nieznanym,
— a drzewa cichym szeptem czołami się wsparły,
że między nimi patrzą — jest duchem umarłym..

1942



Sonet 7

Kiedy się geniusz rodzi, Anioł Przeznaczenia
gwiazdę mieniająca z groty lazuruwej bierze,
by na pajęczce nitce zawiesić w eterze —
— a imię na niej kute — czy jest, kto docenia? —

Kiedy się geniusz rodzi — na moment zwątpienie
błądzi po ziemi sennie, — trącają puklerze,
czy się obudzi kolos i postąpi w wierze
wielkiej, którą określi ludu zgromadzenie

Anioł wyroki dziwne — przyczyny najpierwszej
głosem ogromnym powie — i coś się załamie, —
upadnie dźwięk urwany — jak ostatnie wiersze

A astronom oparłszy na lunecie ramię
i z obojętnie na dół pochyloną głową
szepnie — „blisko zenitu najdziem gwiazdę nową” -

1942

Sonet 8

Siano pachnie i wóz się kołysze leniwie: —
nieśpieszno nam — jedziemy do stodoły wolno
niby statek żeglowny kanałem — drogą polną
sunie zaprzęg pod żaglem w słonecznej oliwie

Wiatr muska od niechcienia palcami po grzywie
chmurek i wstrząsa siatką zachodu mozołną,
— a one aureolą stępią dookoła,
obłoki złotolite na luny odpływie. —

Wychyłam się powoli z za siana, skroś patrzę —
— przy rzeki zarośniętym brzegu drzemie iwa i
łozy pazurami drapią brzegi gładsze

gdzie łąk się ruda krwawi, kłos mięty dojrzewa
— — z moczarów oddalonych dwa olbrzymie słupy
komarów płyną ku nam — po zdobycz i łupy..

1942



Sonet 9

Namalowałam portret Twój, na łąk równinie
jakiego nie masz: dotąd — by wskazać, u ludzi
i oddam go na wieczność — niech się wypogodzi
zwierciadło Świata krucho — po działowym dymie.

A za narzędzie wzięłam w kaprysu godzinie
pióro stuletniej jodły, co puszczyć z snu budzi,
piórko zwilżone sokiem bagiennej powodzi
z fioletowymi błyski na szyszek łupinie

były mi farbą wszelaką wąpiące nieba
insze na każdą chwilę — jak śmiechy dziecięce: —
— — rankiem moreli owoc jędrny — się koleba

południe do swej chwały przyda zlotu więcej
— wieczorem ... umoczyłam pędzel z piórek sowy
w miękkim aksamit niebios — o tonie pawowym..

1942

Sonet 10

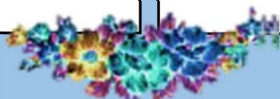
„Ziemio” — — — pogański zachwyt ramiona porywa,
jak grom szczęście kołysa z spróchniałej dzwonnicy
— O świcie na Królewskiej — jadę — słońca szpicy,
lecz dobrowolnie jestem w sercu miasta — przy was

A gdy się świat potoczy już miedziana grzywa
i na brunatno spali snop Bożej pszenicy
— Ziemio! — My jakże nędzni dóbr Twych uczestnicy
święcić idziemy miodem w prostocie lat żniwa.

I zapomnienie nagle z gestem melancholii
tuli się do przywiedłych strzępów koniczyny
już nie mam z przyjaciółmi tedy dobrej woli

Żałować rozsianego okwiatu tarniny, —
— — tylko w jaśminu parność grzęzną same pięści
tylko ucho pod korą łowi życia wieści: —.

1942



Sonet 11

(do AH)

Tobie to piszę, który na kształt myśli
niezrozumiałej — byt odnawiasz w czasie
i wypłowiła barwę na arrasie,
jaką w nas kiedyś dojrzą ludzie przyszli,

po ścianie nagiej, gdy się mrokiem kryśli
snujesz to tu — to tam ... i w ten czas zda się,
żeś tylko pyłkiem przy odwiecznej trasie,
biednym kamykiem, wśród mozaiki myśli.

A czasem wolą pchnięta wstaje Ona,
— — wizja łudzająca ruchu i postawie,
jest jako posąg wtedy — Pigmaliiona

I ciałem żyjesz — dotykalny prawie,
— Lecz wiem, — że rychło jak marmury Romy
legnie kolumnami w proch ruin i złomy

1942

Sonet 12

Słońce — jeżeli myśli, — twarz chowając w dłoniach
sądzi: — „Wszak będą twory, którem zrodził moje; —
groź indywidualności! — jako chmur zawoje
serca ogień przed światem — po nocy i po dniach!”

I tobie będzie danem pojąć: — na jabłoniach,
że kwiaty odczuć mogą twórcze niepokoje —
— splatać w krąg promienistych symboli powoje
odpowiadając cicho w barw symfonii, w woniach. —

Jak kwiat blado-różowy, tak wszystko, co żyje
nie zna w sobie przestrzeni uchwytnej — bez granic
jest dla nas wspólną mową, którą dzisiaj kryjem

a jutro — jak szampan wychylnie ze szklanic
— I kończąc przyjacielską dłoń ku Tobie zwracam
otwórz serce — wtórując za Norwidem — „praca” —

1942



Sonet 13

Z surowością reguły klasztornej — życie
popycha niestrudzenie lud — w śmierci niewolę
i nie zasiądzie — nigdy z szklanicą przy stole
— jeno gorzkim piotunom w cnót mnisich habicie;

Hej — dobry człowiecze - rzuć mroczne ukrycie,
kaptur bury — i winem trąć się w naszym kole,
Gaudeamus, — — i najtęższe porozdajem role
a reszcie bakchusowy winograd — o świcie! —

— — Tobie powiem ... za werwą młodzieńczą zstę-
pują
tytany zbuntowane i godło Jowisza,
złotostrunne pioruny dzierżąc — los gotują

Ospalcom, co lekliwie chronią się w grodziszczce,
— — I rzekną ... coć się nie da przełożyć na słowy
— Czucie, rozmach, — tym wzmocnili napój
bakchusowy

1942

Sonet 14

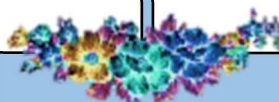
— Pragnę raz dziką, rozjuszoną mowę
łamać w kontrastach — jak złote pierścienie,
— mocarnej pięści nie tknie przeznaczenie,
bo je odstraszy zuchwalstwo tęczowe! —

Pragnę raz drugi pochyliwszy głowę
splatać w warkocze niejasne zwątpienie
i półtonami pozaznaczać cienie
impresjonizmu — w fantazji gotowe! —

Pragnę dobywać marmurowe bryły,
gdzie je posiała jeszcze ręka Boga
i dać im kwitnąć, ażeby ożyły ... — —

— lecz czasem wielka ogarnia mnie twoga,
wstydem się lice płomienia, — — sny w grobie
i więcej wtedy nie myślę o sobie! —

1942



Sonet 15

Dzień od nocy czarniejszy na ustach gorzki siada,
Muska w przelocie skroń i zmierzchem się zaświeci —
— Kamienne, smutne twarze pochyla ku mnie święci,
A wzrokiem szklanym *[cztery wyrazy nieczytelne]*

Noc ... gwiazdami lśniąca smugą ku ziemi opada,
— gdzie bracia moi codziennie śnią w pocie czoła zgięci,
— Kamienne smutne twarze pochyla ku nim święci
— To pustka bez wyrazu w ołtarzach ćmi się blada

Dzień od nocy czarniejszy, na ustach posmak czynu
A w serce nicość gorzką wrócił, by mogła na dnie
Jak miraż — głodnym oczom zakwitać w woń jaśminu

— Nim zwolna brzaskiem złudy w mgłę wilgniejącej'
— Noc gwiazdami lśniąca kołysze mękę duszy.
Aż żal-li tęskność codziennie w nicość ją gorzką skruszy.

5 lipca 1944



Ja nie chcę nigdy iść w pochodu czole,
w fanfarach, blaskach, złocie i purpurze, —
— niech na teatrze świata każdy zna swe role;
— ja wolę miedzą iść i zrywać polne róże. —
— Bo ciche życie poczęte w trudzie — znoju
więcej mi daje spokoju. —

1941

Być jako ptaszek Stwórcy srebrnopióry
upijać się haustem ciepłej przestrzeni,
— Jak śmigła strzała wzbijać się przez chmury
zawsze li tylko wzwyż, zawsze do góry,
gdzieś na spotkanie tęczyowych promieni.

A nie na lata w ziemskim parowie
z stroskanym czołem na tej samej grzędzie
snuć błędne widma i być jeno w zmowie
z kimś kto nas gubi, nie z wami, orłowie
— skarżyć się zawsze i wszędzie.

1941

Męstwo — gdy wyzwolone w piersiach waszych wzrośnie
bo teraz jeszcze w ziarnach ukryte spoczywa —
wtedy do walki stańcie, w szeregach bezgłośnie —
gotowi jako latem do cięcia jest niwa.

Męstwo — od wieków zwykło jedna stąpać drogą,
wiec bez wahania idźcie w znaczne miedzą ślady
— i bohaterstwa w sercu rozpalcie pożogę
Ojczyzny miłość - jako Wielkie Dziady!

1941

Miękko do stóp kleiste lepi się błoto
nad miastem nieba strzęp
zasnuty słońcą. — —
— W ciszę — deszczowych kropel zapada dźwięk
za latarnianym słupem w mroku
czai się lęk — —
— Lecz pewnie nie ma tam nikogo,
Imaginacji może błahy twór,
— postaci niemych sznur
w biel idzie mgieł
nad kamienistą drogą — — —
— Miękko do stóp kleiste lepi się błoto
i monotony ulewy śpiew
duszę przepaja tęsknotą — —
— Gdzieś w dal — ponad ceglany mur
z głębi wewnętrznych czuć
wzbija się głosów chór:
w ulicę przez zapocone szyby
sączą się światła blaski
i kolorowe stroją maski
blade przechodniów twarze — — —
— Miękko do stóp kleiste lepi się błoto,
tak dobrze czasem w wieczór
wracać do domu piechotą,
gdy cichy deszczu plusk
wsącza w zmęczony mózg
marzenia twór. —

1941

Odgłos wielkiego miasta głośny obce mu tony
— na gwarnej ulicy — w załomie muru wtulony
skrzypek nieznaną gra cicho. —
— Dźwięki ... jak dymy kadzielne roznoszą się wprost do góry,
— nie słyszą piękna muzyki przechodniów sznury
wchłonięte w miasta rytm. —
— — On nie żąda uznania, wsparcia nie chce od tłumu
— melodie swojskie snuje w takt ulicznego poszumu
— melodie błękitem przetkane — zapachem słane
— melodie wieczne żywe — gra od samego rana. —
— — Nauczył się tej pieśni od wiatru jesiennego,
od piskania fujarek pasterzy, co trzód strzegą
podśluchał zdradnie na łące poważną mowę rzeki
— słyszał i zapamiętał, — jak w górach szumią smreki.
— A teraz go tęsknota na bruk z mieszkania wyгнаła
— rozkołysanym skrzypkom — murom grać rozkazała, —
— pieśń wsiąka w pleśń tynku, — pada w uliczne śmiecie. —
i nic z niej nie zostanie, gdy wiatr je wszędy rozmiecie.

1941

W tysięczne kwiaty łąki srebrzą się Boże
drżący ocean motyli spał przestworze
w kształt wirującej kopuły. —

Gwiazdy — którym Anieli błękitu ptaki
ranione w arabesek — rzeźbili znaki, —
ścieżki podniebne osnuły.

Lecą pierwsze posłanki z lodu — a szklane,
gdzie zwiędłe pól kobierce liśćmi przetkane,
wiatr dmąc w szkieletach badyli,

Pieśń bladej śmierci nuci, kości potraça,
z iskier ostatnie życie w prochu gasnące
ku ziemi czoło chyli. —

Jeszcze skroś mrocznej bieli mającą krzyże,
by potrójnymi ramiony obłoki chyże
skłębić śnieżycy ku sobie. —

Wzgórek — wydma na piaskach zda się okrętem
a krzyże proste — masztem — nad wody mętne
nie znakiem wzrosłym przy grobie.

I wtenczas większej nie masz ciszy nad śniegi,
gdy widzą horyzontu od krańca brzegi,
a zasy ściełą głębokie —

I nie masz większej od tej samotności,
kiedy u krzyża spocząć, co się prości —
i świat ucieka przed wzrokiem. —

Ty jedna, - samotności - ujęciem głębi
stopiłaś lodowy krąg, co serce ziębi —
— wiecznymi smutki gości

Tylko mi Twoje biegły uśmiechy złotem —
— ściełając po strunach serc jaskółki lotem -
— zapiekłe uśpiły złości. —

1941

Ktoś Ty jest?

Co słońce w rydwan wprząc swój chcesz.
Coś już ujarzmi! gromy, błyskawice,
Coś posiadał górne rozumu stolice —
powiedz — czy wiesz? —

— — — „Pan Świata” ... — — —

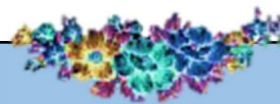
— puchy dźwięczy trzos, —
dziedziczne wieków obciążenie
i małe w głosie zapomnienie,
że Ktoś już wykuł Twój los! —
— Jest jeden tylko Pan: —
wniósł iskry Bożą życia,
materii zdał wieczysty ruch
Zrządził, że nie umiera nigdy duch
w otchłani bycia — —

— Zaś Twoje tworzywo:
jedno-li tylko w łańcuchu ogniwo,
jeden wśród łańcu kłos. —

1941

Ledwie się ręka dotknie zwału mokrej gliny
już myśl na skrzydłach wahań opuści wyżyny
i jak ptak spocznie zrazu po trudach latania
i piórem na powietrzu swą radość wydzwania.
— — — Ręka biegnie leciutko jak po klawiaturze
jak dłoń znawcy-artysty po białym marmurze,
a każde nikłe dotknięcie wciąż linią się znaczy,
lecz rysa ustępuje nim się kształt zobaczy,
— wdzięku formy przybiera coraz doskonalsze,
a te z kolei będą od poprzednich trwalsze.
— Glina — dziwne tworzywo, — które przyobleka
upiorne dziwotwory i myśli człowieka.
— przeto bólem drżą ręce, kiedy szatę wieszczą
na glinie odmierzają i serce w niej mieszczą.
— I chcesz, by była ona trwalsza od granitu
i chcesz, by miała zwiewną przejrzystość błękitu —
— — lecz czy się przemożny nakazu posłucha
tym giętkim palcom podda-li materia krucha?
— Doskonałość wcielona radosnej twórczości
doskonałość, co bólem i cierpieniem gości
nie wiem, czy dzień przeżyje, czy się nie rozkruszy
w pyły smutku — powiem śmiertelnym dla duszy.

1941



Boże, który stwarzasz rzeczy nam niepojęte,
który umiesz dokonać wszelkie dzieło zaczące,
którego miłosierdzie przerasta ogromy —
— gwiazdy, wszechświaty dla nas nieskończone —
— Przyjmij, o Ojczy, serce me strwożone,
— które kornie przed Twoim cicho składam tronem.
I nie odpychaj gniewem — Mocny Boże —
daj się przebłagać — choć późna godzina —
Ujmij to serce dłonią, co ruch wszczyną
I na znak przebaczenia unieś je w przestworze. —

1941



Wpatrzony wieczorem w gwiazd podniebny rój
myślą-m pozwolił w górne lecieć szlaki
i szafirową głąb — w ogniste znaki
plamić — przeżywszy całodzienny znój. — —

Z drżących ros łąki niemilkający gwar
płynąc roztracił myśli mojej biegi
i w poplątane pątników szeregi
wdarł się zwycięsko żabich kapel czar. —

Gdy wtenczas przeleciał po niebie i zgast
promyk źrenicy gwiazdy przeznaczenia,
nie mogłem z mrocznej przepaści marzenia
życzenia woli odtworzyć na raz. —

— — — Więc teraz znużony — czujnie wznoszę skroń
ku lodowatej pustyni bez końca
i wypatruję zeń złotego gońca,
gdzie się ukaże jego bystry koń.

Lecz widać. — poseł w inne strony bieg
odmienił — wyższą kierowany wolą —
— na granat srebrną wypłynął gondolą
księżyc — o licu iskrzącym jak śnieg.

— I w cichym powietrzu zamarł ziemi śpiew
skołysan rytmem drgającej poświaty:
— przede mną kształt się miesiąca rogaty
waży niepewnie nad wierzchołkiem drzew.

1941

W znieruchomiałej tafli basenu — przed zamkiem,
co plamą modrą nęci wśród pleśni kamieni
i się szkarłatną smugą przelewa porankiem
a srebra ciekłym sznurem znad wieczornych cieni.

— Trzy wdzięczne linią spiżu driady dziewice
stopami lekko wsparte w opokę granitu
leją ze dzbana wodę — i boskie swe lice
odbiciem rzuca fali nad otchłań błękitu.
— Cisza kręgiem zasiadła i tylko bezgłos mąci
plusk nikły strugi wykwitłej ze dzbana
że czasem o basenu bruk kropla potrafi,
by na marmuru kraj upaść zbłąkana.
— Stoją wiekami równe kamieniom omszałym
w ruin podwórca prastarej architekturze, —
po murze w bliźny pęknięć nad miarę zszczerbiałym
ruchem swobodnym pełzną pnaące w górę róże. —
— Wieczorem, kiedy księżyc mży światła strugami
zmiersch nad basenu okiem topi swe oblicze
— zamek cieniem urasta i okien rzędami
patrzy — jak się po rogach pali błędne znicze.

1941

Pieśni! — porastaj w dumę orlej szaty
pióra srebrzyste — zgładzone przez lot
— pieśni! — byś potem jako twór skrzydlaty
wzbiła się ptakiem do wieczystych wrót.

Tam ci otworzą wnet duchy podwoje
i ścieżką wejdiesz w nieśmiertelny kraj
i już za Tobą będą niepokoje
rozkazem pieśni — na wyżynach staj!

Słowo się w słowo wplata — jak ogniwa
łańcuchów kuty, co nasz lichy glob
ten najnędzniejszy pyłek ze Tworzywa
wpięty na zawsze w lazorowy strop.

Słowo się treścią napelnia i żywie
by z duszy ziemian zmyć gnuśności trąd,
lecz jak w Arachny misternym przedziwie
zbyt wielkiej pychy zdradzony w nim bład.

1941



Tempo, tempo szalone — wszystko się naprzód rwie
na skrzydłach samolotu — życie współczesne mknie.
jak koło zamachowe — już się nie cofa w tył —
naprzód, jedynie naprzód — wali co sil. —

— Nie ma umiaru ni granic,
każdą przeszkodę ma za nic. —
— Gdzie życie, — tam będzie śmierć,
od kul i bomb — byś zginął
w minuty ćwierć. — — —

W szalonym maszyn rytmie w żywiołów grze
tłum opętany ku lepszym jutrom prze. —
— — Podeptał wartość indywidualności;
i w bezkres wali nieskończoności ...
Bóg jeden wie ...

— — Codziennie do fabryk i biur — dążą miliony
by oddać swoje ja — w produkcji szpony —
— obliczać zyski, procenty —
czekać emerytury lub renty
na resztę dni. — —

Kamienne gardziele ulic, wśród kurzu, huku
pędzą ludzi tysiące po szarym bruku, —
a każdy patrzy na krok swego sąsiada, —
Bo kto nie strzyma tempa, ten pada. —

1941



Jakby się straszne hufce przewaliły
w ponury cień —
miasto spoczywa bez siły
ni śladu drgnień. —

Upokorzona w pyle szat stolica
milczy — zza drzew —
nad linią dachów — z półksiężycą
sączy się krew. —

Jakby artysta — jeno wielkiej miary
węglowy szkic: —
rozjaśnił blaskiem niewiary
czerwonych świc.

(przed nalotem 20 lipca 1942)



Ballada

Rycerz żelazny. Krzyż odciął od miecza
i dosiadł konia
i na wschód poleciał.

Jak duchy śmierci — anioły cmentarne
proste skrzydła,
biją nad nim czarne. —

A w wielkiej skrzy się kopii u boku
bladawym dyskiem,
miesiąc płynąc w zmroku

— I raz się — po raz wychyla na krańce
chmur na rozstaju,
wsłuchany w różańce,

Które — on jeździec składa głosem równym
i czarta wzywa
i nad czołem dumnym

Na gładkiej stali szyszaka poprawia
kitę mieniącą
pióropusze pawia.

Czasem miedziana uderzy podkowa
rumak przestraszy
i księżyc się schowa. —

— Czasem zadźwięczą różańce żelazne
i w ziarnkach spłyną
na pancerz — wyraźne. —

I wtenczas rycerz uchyla przyłbicy,
w której się próchnem
trąd pali zimnicy. —

— Spod oczodołów śmierć Cię wzrokiem mierzy
z białego płaszcza
krzyż mnichów — rycerzy. —

I dłonią w skórze — ująwszy za wodze —
po topolowej
niesie dalej drodze. — — —

1942

Rozpędziła się muzyka w przejaskrawym świetle
niecała, półtonami po kwiecistej mietle
trzepeczą się motyle ostatnich promieni
na szybie rozmazanej... stoimy zmęczeni
Łowiąc uchem matowy gwar sąsiedniej sali —
— za oknem jarzębiny płomieniem koralu
na delikatnej ciężą ze złota oponie ...
— w smukłe żeberka liści — lata tkwały dłonie
jarzębinowe sukienki — tak już zawsze będzie
nim rdzą po śmierci — lato na ziemi osiedzie
i wypowiedzieć dzisiaj przynigdy nie zdołam,
co się w duszy zapadło głąb — i nie wołam
w czas słoty — powrotu zgaszonych promieni
gdy pod oknami rudy smutek się jeno cieni.

I milcząc — rękę podajesz idziemy do sali
w tłum wrzący — ludzie wielcy, a wciąż tacy mali.

1942

łzbyśmy kiedyś ująwszy za ręce
z ciężarnych kłosów trzęśli śmiechem rosy.
łzbyśmy hymny nucili w podzięce
— o to się modłę — człowiek nagi, bosy ...

Dotąd nam tylko pod stopy się stały
twarde odłamy i gorzkie pioluny
w domu niewoli kwitnął czas skarłały —
— lecz może jutrznia znad ciemniej powały
zwróci mi Ciebie — jak cmentarzom trumnę.

1942

Miłość się we mnie rozrasta — pęcznieje — ogromna
jak nenufaru kielich, co skarb wydarł topieli. —
I tak jak letnie kwiaty jest — jak dziecko — bezbronna
na płatkach wodą omytych serce nosi w bieli. —

Lilio — — — Ciebie był artysta wyczarował z błota
i glorią koronował śnieżną na wątlej lodydze —
Czucie ... — jak słońce krąg ziemi — lepila tęsknota
— lecz jako słońce planet — ja-ć się go nie wstydzę!

1942

Nie zrozumienia — błagam ja u Ciebie,
bom lata rosła w ciszy samotności,
a pancerz twardy w gorzkim bywa chlebie
i gdzie chleb taki, tam są moje włosci. —

Ale Ci powiem otwarcie i szczerze,
żeś się uzałił wtenczas mojej biedzie: —
— teraz — jeżeli zechcesz, odejdz. — Wierzę,
— ostatnia chwila — pierwszej nie zawiedzie. —

Nie czynź zarzutów duszy, co w rozterce
kryje się płaszczem dumy fałszywej
Że po koturnów ścieżce stąpa serce
lecz — za patosem krzyk rozpaczy żywej. —

— Nie zrozumienia błagam — lecz w podzięce
na elegijną nutę tworzę Woty
I *de profundis* — wciąż wyciągam ręce
akordem bijąc żalu ... — przemożnej tęsknoty.

1942



Wiosenka

Zajechała se wozem na ugór
koleiny żłobiąc we błocie
rozsypała z zanadrza stokrocie,
a od sukien kaczeńcowy sznur.

Dziewki hoże — na drabinach — kraśne
wianki plotą — żółtolice mlecze
czas się strugą podle drogi ciecze
resztę pleśni zmywa z głowin jasnych

Mrugną okien lazurom kaczeńce
aż sionko przyspiesza obiegu
by w wąwozie zgniła polać śniegu
nie puszyła się skałom już więcej.

Konie z błota ruszą — ruszyć nie mogą
jeno wicher zaprząc było trzeba
rozbroiwszy — wzleciałe do nieba
niosąc kwiaty napowietrzną drogą.

1942



Ballada

Na omszałej cembrowinie w podwórku
Siadło dziewczę ze dzbanem — przy murku —
— — Oj! z daleka przyszła po wodę — z daleka
— Choć jej spieszno, lecz zwleka — —
— choć opodal na wzgórk
matka czeka. — —

Ręce drobne na kolanach złożyła,
w głąb się studni zielonej wpatrzyła,
a dzban żółty, złocisty, niedbale,
u stóp skrzy się gorąco — w upale
— Czemu rzucasz kędy otchłań zgniła
— czerwone korale?

Ale hoże dziewczę patrzy — nie słucha
srebrna fala jej szepcze do ucha: —
— Oj tajemną, tajemną nowinę
w przejaskrawą południa godzinę: —
— by z koralu w kamienny roztruchan
złożyła daninę

Złota studni źrenica to kusi, to mruga
— błyszczą w słońcu, świetlicie się struga
— Hej dziewczyno! dar rzucąj bez szkody,
bo stąd wyjdzie — ten rycerz, ten młody —
jeno minie chwileczka niedługa —
— panicz cudnej urody.

Ona sznurek koralu rozpina
I upuszcza — gdzie szumi głąbina
— prysną krople, lży granitu studni, —
woda z cicha coś pluska i dudni
— aż przymknęła powieki dziewczyna
przy studni. —

I już śmiało spojrziała — nie skrycie
— by na jasnym zobaczyć błękanie —
— nie rycerza — kochanka miłego —
u stóp zrębu studni czarnego
— Ale własnej postaci odbicie — — —
— bez niego.

1942

Lekko mi — dziwna cichość duszy
miękki rozrzuca blask — — —
na poczerniały kontur gruszy
dźwignął mieniący się kask. —

Iskrzące na kapustach rosy
deszczu — o zmierzchu co padł.
— O Żniwa! Boski czas stokłosa — —
— Czyś odczuł myśl mą — zgadł? —

I na jesieni czasem grusza
użycza boski dar
— Śnieżystym kwieciami pachnie dusza
w sad księżycowych mar. —

1942

Nad poręczą zbutwiałej słuzy
— plusnęła do wody
mała gałązka i zwolna
tocząc po falach niedużych
drgnął starzec zielonobrody — — —

— Może to mara, zwid: —
że wiotkie, siwe włosy,
rozwiął po głąbinie
i w sieci z wodorostów
do kładek płynie prosto — — —

Na tych kładkach posiadały rzędem
upiorzyce.....
Koszuliny deszcz zaplamiał im we wietrze, —
kędy pójda żebrać o pszenicę, —
— Głód czatuje w gospodarskich chatach ...
Może zajdą tam,
ale po latach — — —

— — — Oćma gęsta przysłoniła wody
poznikały wodorostów brody. —
Powiew — bure jesieni welony
rozdarł w strzępy — i w smutnej igraszce —
— długim echem — pióropuszem trzcin
o badył klaszcze — — — — —

1942

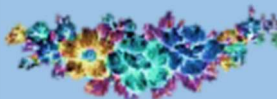
Z lodowych szczytów górskich czas — zrodzony
— Mocarz Północy — co w blasku Zorzy Polarnej
Władczą zaklął swą duszę w śnieżyste całuny —
— pożegnał kraj rodzinny — wierny nocy czarnej. —
— I skrzydliska potrójne nad łądem rozpina
— I bohaterską pierś w mroźne skuwa pancerze
I nie przestraszy go morska głębina,
bo jest twardy, jako dawni rycerze. — — —
— Od albatrosa śmielejszy był w biegu
Gdy nad oceanem w krach szukał odbicia,
— kiedy oddechem ścinał w srebrny kryształ śniegu
mgły nad brzegami fiordów obumarłych z życia
— ... Mocarzu! bieżaj ku nam z Wikingów dziedziny
— zderz się z falą Bałtyku, *[jeden wyraz opuszczony]*
spionym żywiole,
— niech on z łona dobędzie przejrzyste bursztyny,
— i w diadem jantarowy upnie na Twym czole. —
Słyszysz, słyszysz ... z daleka zryw tętni szalony
po czubach gdzieś chojarów pierwsze hasło nieci
Wieszcz, gość z północy. — Chylę przed nim pokłony
Liści uschłych szelestem — ziemi naszej dzieci. —

1942



Głęboko w pole biegi zagonami bór
srogi, nieufny — i ślepie
rozwarł szeroko pod czapą baranią
sośniany mur ...
— Skosmaczonymi grzywy
trzęsie — cichutko ... cichutko ...
nad niwy
— przelewa się żywicy wonią
i gorejące na rozmodlonych rękach niesie
kropelki ros ...
A szyszki w hełmy dzwonią
by głos srebrny
lotnymi pióry
ogarnął skowronek maleńki
— przeleciał ... wzbił się od ziemi
na Anioł Pański
w chmury — — —

1942



Wczoraj przez ogród mój
czarodziej przeszedł nieznanym
opadłe z liści kasztany
w okiści przybrał strój.

— Gdzie smętne z wiatrem badyle
ku ziemi chyłą skroń
widomy ślad złożyła
twoja artysty dłoń. —

W sadzie przepychem skrzą —
— bogate są krzewów szrony
zamarzłe rosy drzą
niby brylanty korony. —

— Zapodział nawet u proga
wąskiej się ścieżki ślad,
— gdzie wczoraj była droga —
dziś cichy śnieg tam padł. —

Swawolny rozprasza powiew
w przestwór lodowy pył,
że świat jest cały jak z bajki,
o którym nigdym nie śnił.

— Całuję białe kryształy
— na ustach gorzki smak
W szczęście-m przemienion cały,
— prężny ku lotom ptak.

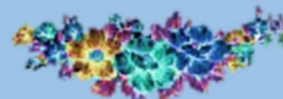
1942



Uśmiech jest tęczą u niskiej powały,
żebrem siedmioramiennym — romańskiego luku
— Gorycz, jak owoc rumiany — dostały —
miaższ z niej wycieka i splywa po bruku.

Z różowym szkiełkiem, pod barwnym sklepieniem
stajesz przechodniu w bramie Cud-Krainy,
nie wiedząc czemu — potęgą milczenia
witasz u stóp swych — gorycz cudzej winy.

1942



Zapadła karta w dziejowej księdze,
w której los pisze czasu atramentem,
a każda głoska będzie testamentem
kiedy nie wrócą się sny o potędze.

— Zapada karta i wnet popiół siny
przysypał czarne od wierzchu litery,
usnęły zwiędłe wiekami godziny
i przewiał uśmiech od nieba wyżyny
— Nieszczery. — — — —

Kiedyś po latach w złote klamry zwanie
zamknie Stworzyciel straszną dziejów księgę,
— Lecz czy będziemy na ostatniej karcie,
czy przepleciemy do końca swą [jeden wyraz nieczytelny]

1942



Świadom, że cudzą dźwigam tajemnicę
wracam bez smutku na dawne ugory,
— Kruchą ze snów mych upuszczam żalnicę
w blade wieczory. — — —

— Przewróć jak dzwon — mi — wciąż gra kryształowy
— sercem ze spiżu i płaczu ukuty —
— mrok zamyślenia rzeźbi snów okowy,
boskimi dłuty. — — —

— Świadom powracam — lecz jakże — bogaty,
prócz gwiazd szelestu, pyłu zniechęcenia,
gdzieś mimowolny bieg — śladem utraty
naszego cienia. —

I pustkę wielką odważa na szali
Jesień — i szronem przybywa z oddali
— a szron się srebrzy jak umarłe kwiaty
i nic już nie mam —
— a jakżem bogaty!! — — —

1942

Jedne są tylko pomiędzy wieloma: —
— nić potargana — i nić purpurowa
z obu się przedzie koszula ogromna,
brzemień człowieka — nie szata godowa.

Jeżeli przyjdą z pokoleń synowie
blednąc, że trudy na barki ich — duże,
kto ze wzniesionym czołem im odpowie
niech zdejmą chochoł, który więzi róże ...

Słowo — niewola — krwawi nasze ciało,
lecz, że jesienią schła roślina zdrowa,
my tylko winni — — dziedzictwem zostało
sława stargana i nić purpurowa.

1942

"Żegnaj" popłyną głosy smutne,
jak ciche psalmu słowa — pokutne —
„żegnaj” dokoła szepczą cienie brzoź,
złotawych liści płacząc smugą,
— za uchodzącym słońkiem — mróz
w noc idzie długą. —

„Żegnaj” aż przyjdą nowe czasy
i my będziemy pełne krasy
na strunach wierzb, jesienny ton
— cichnie dźwięk surmy radosny —
„żegnaj” poboru głosim skon
— do przyszłej wiosny. —

Ostatnie echem grzmą podkowy koni,
jabłonka rumieńcem się płoni
w zamarym sadzie, — szmerem spod kół
przetacza się piasek we szprychy
i sypie miał, w tęsknoty dół

i klepsydry lichej. — — —

— „Żegnaj” — zapachnie szara rola
wiatr rozpiął skrzydła w szumie pola
— ostrym powiewem ciśnie łyż do ócz. — —
— Jak srebrne ślady, — smutku chmurą,
nad nami — precz — żurawi klucz
— polata górą. — — — —

1942



Odemknęła jesień lustrzane wieko —
— rozsypała barwy, daleko, daleko, —
— listki złote — akacyjne
na twą głowę. —
— i czerwone klonu — krwawe
u stóp — na murawę. —

Pobruździła jesień w polu zagony,
z jękiem szklanne gasły lata trony
— Pusto — cicho — ... dziś niedziela,
wiew się rozpociła — — —
— tylko barwy pastelowe —
— płyną na Twą głowę. —

1942

Wiecznie jesteśmy skłonni myśleć o tem
by na cokole z kruszców w ziemskim niebie
przypiąć statwę powleczoną złotem
Egoistyczne — ja — samego siebie!
— Lecz, że pomników tych — jest na miliony
więc nie ma miejsca już dla zasłużonych. —

Wiecznie jesteśmy skłonni myśleć w klęskach
gdzie się znów szczeni porwane istnienie,
ale nadziei postać jest wieczysta,
ale w początku tkwi mdłe zakończenie
— i po marmurach włoką cię mizerny
pióra skrzydeł narodu pychy — i dusz miernych.

1942

Łatwo jest czas ominąć i powrotne drogi
Odnaleźć, spośród zielska marmury szkieletów,
Akademos gaj — ostrów każdy — i Bogi
zamieszkałyby chętniej świątnice — czyż nie tu?

Pod portykami bujnie strzelistej leszczyny —
— białe — pewnie z słonecznej materii utkany
zjawia się Platon-mędrzec — Chwili nie prześpijmy,
a rozświetli się słowo — jak piękne przemiany. —

1942

Patrząc na przeszłość kulami wydartą
myślę — — czy pisać warto?
— Wam nie trza liści
co wczoraj na wodę opadłe
w barw szkarłacie więdną
i wraz przez jesieni czoło zbladłe
rzucę ...

To wszystko jedno. — — —
— — Wiersze nie wasze, nie moje — słyszcie!
Jeno nastroju może,
który się czai w pokoju ...
— na małej przestrzeni.
Olbrzym — choć bezcielesny
O Boże! — — —

Ale dla siebie wymaga
sklepień — i kolumnowych podziemi!
— — Gdy rozpacz dławi bezbrzeżna
— On oczom nie ukaże
bohatera cichego — w czamarze,
ni innych ... — —

Bo ten ostatni z umarłych ma twarz niewidzącą
— pod zetlałą piersią
— proch — miasto — gorącość — — —
I prawdy nie ma —
— — sprawiedliwość — — —
dziwnie są
teraz daleko, — obce
jak słowa życia sprzeczne.

Nigdy nieodwiedzane w polu
mogił kopce. —
— — Na co się komu przyda
liryzmu nuta
w grozy akordzie?
— Że choćby wyszła przejasna
spod bardziej czystego dłuta

Jest tylko własna — — — — —
I w barw szkarłacie liście więdną
— to wszystko jedno.

1942



Kiedy usypiam zmęczona śmiertelnie
chciałabym widzieć jeszcze Ciebie blisko
ale odchodzisz, coraz dalej, chwiejniej
we mgłę przemieniasz wszystko — — —

Kiedy się życia bieg waży niepewnie
i gromkim echem duszę obezwładnia
Twe słowa czytam pieściwie i zwiewne —
— lęk rozpraszając co dnia.

Chwilę mnie smutek gniecie przeraźliwy,
nie umiem stroić go w słowa rozpaczny ...
jesteś jak pomnik wrosły między niwy
a ja jak mrówki ślad w polu niebacznego.

I nie ma w świecie nikogo — do Ciebie
muszę przebiegać — owad — ścieżek pyłu
— i co mnie boli wszystko w Tobie grzebię:
smutek, niepewność i los tak zawily.

1942



Czyś widział kiedy — czasem o zachodzie
jakby nie z tego świata — widmo staje
podobne zrazu martwej, ciężkiej kłodzie,
mgłą się roztacza nad ostrowu gaje

Rychło powietrze wnet zacieśni sobą,
że się w oddechu ból krwawi przezysty —
— i napełniony z kruży myślą chrobrą,
od której płynie spokój wiekuisty. —

Jak w Nim — przeczuję w Tobie wielkość chcenia
więc mi zawodem nie gaś-że nadzieje
— jeszcze oblekam tajemne marzenia
w gwiazd pióropusze, gdy na wschodzie dnieje

— — — Znowu się zbliża On — miedzami kroczy
a dumne czoło wieńczy chmur odmętem —
— krwią w jego barwach okrąg słońca broczy
kiedy go ciska w dale niepojęte.

1942

Żałobne tylko słyszę głosy
Żałobny tylko śpiew —
pozasnuwały mgłą niebiosy
błękitnych źrenic gniew. —

I nastrój senny w rytmie pluchy
kołysz trzciny kiść,
Zapytywałam nocą duchy: —
mogę-ż do Ciebie przyjść? —

Żałobne znowu słyszę głosy —
a w głębi — jak na zgon
przelata wicher jeno bosy
nad ołowiany skłon. —

Jakieś się błąka wciąż wspomnienie,
jakiś zgubiony ślad,
to zapłakane sosny cienie
snują przedziwo lat. —

Lecz mniemam w chwile one
nadejdą kiedyś dni,
U strun tematy znużone
rozwinie dłoń, co śni. —

sierpień 1942

Późno ... granatu zawisły firanki
w oknie — zapachem mroku pokój dyszy,
— od fortepianu martwa biel klawiszy
— próchno z nocy atomem żegluję w poranki.

— — Myśli nad głową wirują jak bąki
łan koniczyny zwidział się im blisko
więc szafranowe cielska rzucą nisko
pyłom złotym — już dawno niewidocznej łąki.

Nie ma gdzie uciec, — — w którąkolwiek stronę
kieruję umysł — skorupę ślimaczą,
w każdej są stronie ślepie, co zobaczą
strach przeraźliwy i serce zmęczone.

1942



Struna — strunę lekko trąca
— leci nuta cicho brzmiąca,
— Brzoza — brzozie poprzez drogę
radę daje po niewczasie
— gdy nad ziemią zórz pożoga
— płonie dumna — w całej krasie.

Wiatr — wiatrowi szepcze w ucho,
lecz co szepcze — o tym głucho —
trawa w trawie szcerwieniła
jak od mrozu liście klonu,
zaplonione i nieśmiałe
pychy barwy — nieboskłonu. —

Ptāk za ptakiem w dal szybuje
dałą — lotki wypróbuje. —
— Liść — za liściem — szmerem drżącym
— wieści lata krótką chwilę,
że promieniem w górę pnącym,
skrzydła rozpiąłby — motyle. —

1942

Zstąpił Anioł w gwieźdny pyle
pod tarczą miesiąca —
dłonią dzierży nieomylnie
srebrny gwóźdz. —

— Księżycowy blask na skałę
sieje ręka drżąca
aż trysnęło przewspaniałe
źródło prósb. —

1942

Ktoś się roześmiał — i nic więcej, ()
tylko się śnieg przyczaił mięcej
i tylko zmarszczkę po kałuży
pędzi jak chochlik — podmuch burzy —

Ktoś się roześmiał — wód człapanie
tylko nad strugą łoży granie
po liliowych strunach stąpa
siatką przczysta — zlewa skąpa.

Ktoś się roześmiał, drga sklepienie
miedziane w trawę runą cienie. —
z kości grzebieniem czesze włosy
słońce — i złote spleta kosy. —

1942



OBŁOK

Na błękitcie firmamenty Heliowe dziedziny
wypłynął obłok białopióry, — powiew żagle wzdyma. —
Prędkość wiosłem on przydaje słonecznej godziny,
z między szlaków się tysiąca prostej drogi ima, —

Skąd przybywa srebrna nawa, okręt tajemniczy,
jak Cypryda narodzony z wątlej morza piany,
godłem jego perły rosy, których nikt nie zliczy,
wiąże kwiaty — niby wodę — krynic roztruchany.

Myśmy przecież już widzieli, jak jutrozenka hoża
tkala ręczo na sklepieniach witraż pozłocisty,
widzieliśmy korab chyży, jak nad gęstwą zboża
Z mgieł tumanu się wyłonił — krwi smugą ognisty.

Okręt pędzi — gdzież załoga — co kierunek dawa? —
— dlań — bo sterem są promienie — gwiazdy dnia posłanki
— bez załogi płynie głębią tajemnicza nawa —
— rankiem wczesnym — do aniołów zbliżone kraszanki

Sunie prędko — i po ziemi ciągnie szare plamy,
gasząc pastel kolorowy — znamię późnej wiosny,
— płachtę rzuca na korony boru, — co na tramy
tracz wyrąbie — łzę żywicy — smutniejące sosny. —

W poprzek żagli — szczelinami — niby śnieżne mewy —
— odsłoneczne blaski snopem lecą na spotkanie
— ucałują kwiaty, ziemię, liść smukły nad drzewy
— złotym widmem strun natężą boskich harf dumanie

W taką chwilę ciszę pola — macić może skrycie,
tylko serce przytłumione, co tętni nad niwą —
Stań! — usłyszysz wiatru granie na harfie w błękitcie
— na Eola siedmiu strunach pieśń miłości żywą?

Cud zamiera — kędyś znika: dziób, maszty okrętu,
kształt sens traci i topnieje w jednej chwili mgnienia
— Potem rośnie znów — twardnieje z oparów zamętu
i przybiera zarys muszli wierny do złudzenia. —

— Górą — kaptur — wieko muszli — w barwie swej szarawej
— dołem — perłą się przeziera srebrzysta — na światy,
Perłopławu losy dzieli chmurka — bogactwo sławy
i na barkach wiatru niesie kruchy twór skrzydlaty.

1942

Piękność Antinousa błądzi po jaskrawym stoku
splamiona cieniem krzewów akacji pajęczej
z miękkiej dłoni wylata w spiekę pył owadzi
i jeden uśmiech w niebo nie powraca więcej.

Piękność antyczna — kraje odległe macierzy
i nie wiem, kto je znęcił — by tak między ule
płynąć jak welon nieba na jasnych marmurach
z gałązek mszastej lipy miód podawać pszczołe.

Wietrzyk giętkim nieśmiało obsuwa się ruchem
garnąc słodycz pozłoty, co okleja liście,
to Antinous smagły — zdmuchnął owoc w trawę
dzisiaj — na jutrzejsze każąc czekać przyjsie.

1942

Czasami - pochylone ku sobie widzę twarze
w rumieńcach - to wasze oczy rozwarłe
głębią — spojrzenie,
któremu imię przeszłość, lecz Ktoś ma moc i ukarze
— za powrót — w dni mych rdzenie
i poplamioną kartę
w pajęczynową tkań
osnują cienie —
— Bajka-powieść — jedno-li drugie
rozpala wyobraźnię — gorze —
i podświadomie zrywa dziwne klejnoty
— Tak ... a potem może
nicość od nowa — pustka przez lata długie —
Niekiedy zgubionych na ścieżce
skarbów blask złoty i róże ...

1942

H. de Régnier „Sur la grève" [Na plaży]
Przekład Krystyny Budzyńskiej

Spocznij raz na wybrzeżu i weź w ręce obie
garstkę jasnego piasku, co złoci od słońca,
aby go lekko przesiać po ziarnku do końca. —
— Potem, nim zamkniesz oczy, spójrz na morze jeszcze,
na harmonijne tonie i niebo przejrzyste.
A gdy poczujesz zwolna, że twe dłonie czyste
i nic nie ciąży wagą na gładkiej powierzchni. —
Zaczem zwarte na nowo otworzysz powieki
pomyśl — to życie nam daje i ńęci wśród spieki
swój piasek nietrwały na wieczystym brzegu.

1942



Sam ... godziny południa pobrzękiem much liczę
u podnóża kolumny upałem stężalej
powietrze ma orchidei upiorne oblicze
i pachnie jak ziemi ciało. —

Oddechem chciałbym trącić kryształową szybę,
co grodzi świat ode mnie i w wirze podmuchu
zadźwięczeć taflą szklaną pod niebiosów grzybem
który stopy powierzył płytkiej czasze w ruchu —

Tak marzeń różnobarwnych tłumy igrające
w polu na cel słonecznej ujrzałem korwety
— gdzież zasnął — w miejsce padły to samo niechcący
pociski nieuchwytnie — minawszy zaświaty.

1943

Czekam — — —
aż ciszą w pole gnam
Akwilon — łez mi trud osuszy
i po porannej śniegu głuszy
jutrzeńki błysnie tan

Czekam ...
aż barwą miękką znów
rumieniec żalny lic zapłonie,
by na puszystej snów oponie
gasnąć milczeniem słów ...

Czekam ...
aż zwrotny słońka wóz
na szlaki wyrwie się sokole ...
— W dźwięku janczarów, poprzez pole
sieć tęsknot tka mi mróz —

1943

Pozwól, że rąk Twych dwoje podniosę ku oczom
I przez szpary daleko, daleko popatrzę
Na siwiejące rozłogi w gasnącej słońca wiatrce
Na rozstaj, który my i lata nasze broczą.

Prośba moja daleka, wiatr ją Twoim uszom
jeśli zechciał, powierzy, a może rozkruszy
w zapomnieniu, jak kamień oderwany kuszy
Gdy pamięć prześcigił, — z ciała stawszy się już duszą.

A jednak gdy rąk dwoje podniosę ku oczom
Wierz mi — że gaśnie płomień, który w piersiach wzra-
stał

— Cichnę i jestem tylko przy Tobie niewiasta
z wizją na ustach — smutną i nocą proroczą.

Poprzez szpary daleko, daleko popatrzę. —
Ach! To nie Twoje — jeno moje ręce,
O czoło rozpalone wsparły się w udręce
Że wraz z nadzieją znikną, postaci coraz bledsze.

5 marca 1944

Na ogorzałym licu drży
czerwień — jak często mi się śni.

— Idziesz ku grzędom nędznych chat
gdy im należnyś z ciała brat

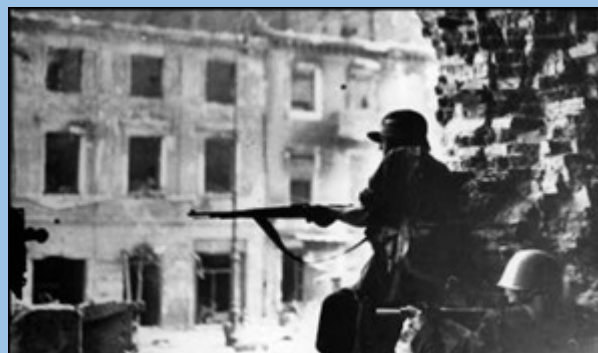
Duch Twój obejmie niebios krąg
a stopy wesprzesz w rosę łąk.

Z spragnionej wargi słońca skłon
płoszy nieznanej pieśni gon.

— Zmierzchem jezioro siwych kruż
przyjmie spojrzenie naszych dusz.

— Nawą miesiąca nocnych pór
poświatą spłyniem w srebrny bór.

5 marca 1944



Bo tak odmienne wieki teraz idą — — —
— — Eter się w niebie pali — — —
— Zastęp pod wałą kostuchy egidą
Stalowym zębem bagnet w piersi wraził,
I papierowe kukły padną
I umrze z nimi smutne słowo — zdrajca,
— Ale czy umrą na polu czy w sercach:
— To jeno opowiem — Bogu.

1941-1944?

Oszołomiony wonią — kołysze stopy
Dzień napięty od wiatru
Wiosenne gnąc roztopy

Piję z barwnej kruży
sokiem ciekące życie
By czas się nie zadłużył.
Czy nie ominął ich skrycie —
— człowiek i strugi po rowach
drzemiące, — wszystko co się nazywa
Istnienia fale od nowa.

1941-1944?

Po grzędach pełnych gwiazd
Nad rozłóg pól i pychę miast
w sferze mrzącej satelity
Ostrzem przecina mgławą deń — — —
— Żalości bukiet nierozwity
Na drogi mlecznej strąca cień. —

Ogromny — przecie kwietny pąk
Za sierpem — w pokos zwiśnął bąk
— — Rosa gdy płynie — pieśń się wskresza —
I wolę myśli precz owładnie
— Tak róg miesiąca gwiazdami na dnie
Kotwice w sercach pozawieszał
Ty nas nie widzisz — sunąc wzwyż
Boś zapomnieniem — ziemi — krzyż.
Łany — noc i brzask oblicze mieni
W granicach twardych wiodąc bój
A my na wieki zamyśleni —
Przez cienie patrzym jeno [jeden wyraz nieczytelny]

1941-1944?

Mądrości — daleka, czysta i święta
i że wyrazić Cię trudno — niepojęta!
— Kto powie „Ciebie nie ma” — szukać będę
A gdy kto szepnie „fałsz” — prawdę zdobędę!

— Oczom rozwartym sen przychodzi
i czasem jeno westchnie serce
i czasem inna myśl się zrodzi
jak w obcych ziemiach, w poniewierce —

tułacz przeczuwa: wiek się kończy i gwiazda wschodzi
— By posiąść Cię — mówiono: weź szatę filozofa
i zbrojny w pancerz systematów
poszukiwania czyń! — rycerz z zaświatów.

Lecz większy będzie on trud od trudów don Kichota
jak gdyby ktoś mazowiecki piasek dłońmi przesywał —
w poszukiwaniu złota. — Mądrości daleka, czysta i święta
i że wyrazić Cię trudno — niepojęta!

Gdzieś jest? — Czy dłuto nędznej dłoni
wielkich artystów starożytnych
wkłuło Cię w marmur białawy
dni szczytnych nadludzkiej sławy?

Czy może czas dawniej poczęty
co jak pochodni w ręku Boga
dzieli wieczności straszne męty
płomieniem w wieki, lata, dni, godziny —
aby załoga krucha — świata — nie rzekła
„Otchłań wieczności nas przeraża”?

Może on czas świetlistym hieroglifem
wypalił mądrości ład
w eterowych pól bez nazwy
w przestrzeniach międzyplanetarnych?

— Mądrości, daleka, czysta i święta
i że wyrazić Cię trudno — niepojęta!
I nigdy cała — jeno widzialna przez krocie?
— czasem na uroczyskach słowiańskich — gontyn pomroce
Na zadumany wieszczka czole
w dębowym wieńcu, przy cokole Światowida ...
Czasem w wąwozie Termopilów u grobu Leonida
pył z hermesowych skrzydełek
otrząsa — wielce zdrożona — — —
— a bohatera cień szeleści — „Ona”!
— — A gdy się nowe dzieło tworzy
jak słup graniczny bezdroży,
Przez mózg genialny wątek
błyskawicowym ogniem kreśli ery początek.

1941-1944?

„Nie znasz mię” — szumi drzewo
— — domie modrzewiowy
pod tynku i pleśni polewą —

Nie znasz, choć gont dębowy
Za przystań odwieczną
Jest skroń mej zwichrzonej głowy. —

Ja co dzień niebosieczną
Kroję igłą lazury
I kulą się palę słoneczną

Tobie — gałęzie — mury
Od złotej ulewy
Chronią z wachlarzu tłem z pióry — —

Świata obłoczne mewy
Z daleka — przez sieci
Oka podziwiasz i plewy.

I wiatr po gałęziach leci — — —
Gdy rybka w niewodzie
łuską się słoneczną zaświeci —

Dla mnie — w krasnej urodzie
Co chadzam jesienią
I nagie ramiona o chłodzie

Grożąc — wielu kamieniom
Wznoszę tam i patrzę:
Już liście się martwe — rumienia.

Mnie śni się życie bogatsze
Pragnę tchu mocarnego
Wziąć w płuca i czoło blade —

Ustroić gromu onego
Odlamem i w lata
Jeziorze pławić się parnego

Tobie — cichość zatrata
Rozmyślenie serdeczne
Gdzie mrokiem wabi komnata.

Spojrzenie jedno — mleczne —
Odbicie gwiazd drogi.
W źrenicy okien czarnej — wieczne

I może z domowymi Bogi
jeśli są — pogwarki
Z ludem skrzatów po kątach mnogich.

1941-1944?

Rycerz żelazny — krzyż odjął od miecza
I dosiadł konia
i na Wschód poleciał.

jak duchy śmierci, — anioły cmentarne
Troiste skrzydła,
Biją nad nim czarne. —
A w wielkiej skrzy się kopii u bloku,
Bładawym dyskiem
Miesiąc płynąc w mroku. — — —

I raz się po raz wychyla za krańce
Obłocznych dymów — —
wsluchany w różańce,
Które on jeździec składa głosem równym
I czarta wzywa
I nad czołem chmurnym. —

Na gładkiej stali szyszaku poprawia
Kitę mieniającą — —
— Pióropusza pawia — — — —
Czasem miedzianą uderzy podkową
Rumak przestraszy
I księżyc się schowa — — —
Czasem zadźwięczą różańce żelazne
I w ziarnka spłyną
Na pancerz wyraźne
I wtenczas rycerz uchyla przyłbicy
w której się próchnem
trać pali zimnicy
spod oczodołów śmierć Cię wzrokiem mierzy
z białego płaszczu
krzyż mnichów — rycerzy —

— — I dłonią w skórze ująwszy za wodze
po topolowej
Niesie dalej drodze — — —
I tęczę falującą zstąpi z błękitu
na głowę, — miłości
Promienny chrzest — — — —
— Była chwila — —
Złączona z innych tysiącem ... — — — —
Nie wiem ... — — Ktoś się nade mną pochyla, —
Kształt przeogromny i ręka ... — — —
— — — Przez serce głazem się męka
wali, — — senna, leniwa — — — —
— — jakieś duchy widzę, —
Białe po niebie żagle, ogniwa — — — —
— — — „Zbudź się, Adamie!!” — — —
— — I liście padły zemdlone
Do stóp mych. — Wizję powstałą z niczego
ujrzałem, — jako płomienne na obrusie znamię, —
— Oblicze Jego —

1941-1944?

Co więcej dodać by można, kiedy odkrył lica
Chyba, że w nocy mu płaszczem jest szata Księżycu
W dzień strój głowy królewski — korona promieni
Tarczą — słońce chryzantem, broń grot Apollina
Więc radzę wszak dogodniej jest się trzymać cieni
Niż bez osłony wstępować, gdzie moja dziedzina.

„Finis, finis” ktoś szepcze — gdzie cel by gadać tyle
I słowy nieuczzone mozaiką pleść zawile
Lepiej raz z paszczy wulkana niebo ogniem schłostać
Lawą owinać krateru wyszczerbione brzegi —
— A potem nieco odmieniając postać
Lec wulkanicznym popiołem gdzie bieguna śniegi.

Czytelnik mówi: artystyczne odrzuciwszy pozy
czas wrócić do wieku dwudziestego prozy
— Prozy, — to znaczy wojny, każde bowiem słowo
jest armatą nabitą, a wykrzyknik bombą.
Każde zdanie kolumną do boju gotową
A kropka nad „i” paktu o nieagresji plombą. —

O wszystkim pisać i mówić zarówno jest wolno
Jak iść drogą otwartą lub ścieżką mozolną
Więc pozwolisz, że rany ojczyzny przemilczę
I święte wspomnienie zamknę w osobny przybytek
Bo siekać niemądre wyrazy, to jak kły wilcze
Szczerzyć nad trupem, tu inny z nich będzie pożytek.

Pascal powiedział kiedyś — „Człek natury trzcina
Że choć kruchą i łamliwą, gdy ją wiatr przygina
Jest jednak trzcina, co myśli”, lecz wy nie lubicie
By o tym przypominać i dlatego też tuszę
Od dziś na przykład Koniec — umieram o świecie
Minos łaskawiej niż czytelnik sądziłby mą duszę. —

1941-1944?

Na puklerz, bo bractwa rycerzy
— Znak się Graala świętego płomieni
— Znak przedziwnej jasności świeży
Znak, co wyrósł spod krzyżowych cieni

— Wstań rycerzu we świetności krasie
której płowieć nie wolno i w czasie.
Choć już Graala tu nie ma na ziemi —
Choć bohaterstwa zmieniła się skala
Jednak żyje siła, co nie kala
Tylko odrzuć; pancerz, tarczę, miecze.

1941-1944?

Nie tak się pisze zwykle jako by się chciało
gdy wszak oczerniam bliźnich, plamię nawet mało
Bo cóż jest wart na ziemi ten czerep człowieczy
jeśli pozbawion rozumu i wysiłku myśli
a autor choć wszystkich, nie siebie leczy
Nie wie — co za godzinę w poemacie skryśli.

Lecz wiem, natchnienie wieszczą to nie Feba konie
Co za ramieniem cyrkla pędzą w niebios błonie
I już z góry wyznacza przez datę miesiąca
kreślą tory odległe lub też bliższe ziemi
A czwórkę, choć wędzidla targa naprzód rwąca
Apollo bóg wstrzemięźliwy wciąż kieruje nimi. —

Natchnienie serce krynic i dar nadprzyrodzony
Jak złote ziarno siewcy sypane w zagony.
Na gruncie żyznym wzrasta i strzela wysoko
Natchnienie insze niż burgundy i szampany wino
Niekiedy w lichą stągiew przelewa się na oko
Zrządzeniem losu, lecz także za Bożą przyczyną

A teraz i do współczesnych powiem na rozstanie
Słów kilka do tych, co wierzą w ciała zmartwychwstanie,
Którzy na dźwięk sam zgniłego wyrazu „Artysta”
Trzęsą się i zgrają krzyczą: na jego wyroby
Ustał wszelaki popyt — kto ze sztuk korzysta
Tak bo o artystach w salonie mówią jeno snoby.

1941-1944?

Nie było nic ... — — —
— — A potem martwy, jak obrazu rama
Trwał w zamyśleniu świat. —

— — I czekał, aż wołą wykołysasz
Posąg gliniany Adama —
Naruszy ziemi ład. — — — —

— — duch — — — *Tabula rasa*
Gładsza, niepokalana pyłu garść: —
Lepiły posąg Adama.

— — Początek — — — dał istnienie — — —
A zdało się ... — zawsze byłem
I to, co przede mną — — — wieki słoneczne lata

Że śniłem — — — — —
Lecz pamięć utuliła radosną wieść
Słowem tworzenia: — „już jest” —

1941-1944?

Liście z drzew lecą na siwą wodę
Jak lotne płatki skąpiane we krwi
W mdły czas jesiennej szarugi i słoty
Miecione wichrem, co z nich sobie drwi.

Liście z drzew lecą na siwą wodę
Barwnym kobiercem kryje stali tło
Chcąc uwydatnić w śmierci ich urodę
Natrętne fale migocą jak szkło. —

Niegdyś zielone ożywczym sokiem
Dziś w rękę strzepy kruszy się i rwie
Dziś się przyroda żegna z bożym rokiem
Życie powoli zamiera i schnie.

Liście na wodzie płyną jak fregata
Jeden wędrowniki mają kres i szlak
Z Purpury żagiel płonie niby znak
To — Sztandar uchodzącego lata. —

1941-1944?

Stanął przed fortepianem
I długo ręką nieśmiałą
próbował klawisze,
— — A po obliczu w dźwięki zasłuchanym
błąkał się uśmiech — — — Wtem ciszę
nienaturalnym jękiem na poły rozdarła
Nuta skradziona błękitnej symfonii — —
I się na strunach pięściami podparła
I fałszu akord szedł spod mocnej dłoni — —
— — — A ona krokiem, niedbale mierzonym
Idzie i grozi, że ją śmiały poruszyć ... — —
A jemu oczy zapłoną w radości,
— że znalazł przeznaczenie u granic — —
— — Przyszłości! — — —

1941-1944?

Posuchą ziemia oddycha w lipcowe popołudnie
— rozdrżane skwarem powietrza, coraz migoce złudnie
— Zapach się duszny rozlewa nad łanem koniczyny
I płynie gdzieś daleko, z nurtem szerokiej równiny.
— zapach słodki — nad miarę nektarem przesycony
Muska w leniwym locie, żarem spękane zagony.

1941-1944?

Pamiętam życie jeszcze w tej nietkniętej krasie
A lak wyraźne w barwie, że uchwytnie zda się
Tylko wystarczy chwilę przymknąć oczy w ciszy
A przeszłość się zobaczy, dawne słowa słyszy.

Teraz czarna stanęła na drodze zaporą
Przepaść pełna przekleństwa, gdzie drogą szła wczora
Wąska się po bezdenni wije tylko ścieżka
A w niej jeden lud zbrojny, krwi niesyty mieszka
Kto po trudzie i walkach brzeg wtóry osiągnie
Niechaj życie buduje, bo go śmierć nie zmognie.

Pamiętam owo pierwsze dziecka przebudzenie
Wykwitłe poprzez bajki dziecinne marzenie
Pierwsze kroki po ścieżkach milowych natury
Drzew leśnych korowody i jarzębin sznury.

I owo pierwsze olśnienie, jak płomień magnezji
Że obok nas istnieje świat drugi poezji —
Po onym drugim świecie niby we własnym domu
Snułam dla się nić złotą myśli po kryjomu. —
I przetrwał, choć nędzne teraz bytowanie
I doczeka, że wolność kiedyś zmartwychwstanie
Duch sarmaty dojrzewa w rychłej czasu godzinie
A gdy w siłę dojrzeje, jego słowo nie zginie. —

Uwielbiałam gorąco dzienne słońca pochody
Na pogodnym błękitcie rubinowe zachody
Gdy plamy purpurowe poprzez drzew listowie
W poplątane desenie kładą się na stawie
Pokochałam łąk krasę, pól rozłogi wonne
One w szumie masztowym porosły, sosny gonne. —
Przez potężne chojarów wytrysłe iglice

Trzymające od wieków straż nad życiem ludzi
Wiecznie na stanowisku w słońcu czy zawiei
Pamiętam także z wiatrem lubiłam w zawody
Przez deszczem rozplakane przemiękle pogody
Biec pryszcząc płytko wokoło kroplami kałuże
Bosą stopą znaczyć w ziemi ślady nieduże
Tysiące dziwnych wzruszeń, które nie budziły
w innych żywego dźwięku, mej duszy się śniły
W mgłach samotne źródło nimf łąkowe zwierciadła
Toń kusząca ukradkiem w dno ruchome zapadła
Gdzie stąpisz, zdradne wokoło leżą trzęsawiska
Trawy, wodorosty w kręgu ścieżka jeno śliska

Teraz ostra tęsknota za tym zgasłym światem
Wiecznie w myśli wykwiła wspomnienie tematem
I już w rymów tężeją wyciosane bryły
Dziwne owe marzenia, co się sercu śniły.
Częściej teraz niż przody wspominam te lata
Młodość miodem syconą, co w wolność bogata
Bujnie się rozwijała i w inne wpatrzona
Ideały, nie w oblicze ojczyzny, gdy kona.

1941-1944?

Morze — niekiedy lśniące swą powierzchnią wód
Jak złotogłowia nitki w błękitnej tkaninie,
Czasem burzliwe w chwili roztopione płynie
Atramentową barwą w przenikliwy chłód.

Od narodzenia kryje tajemnicy skarb
I do czeluści zdradnej wstęp zazdrośnie strzeże
Nigdy z nikim morze nie wejdzie w przymierze
Władca srogi na ziemi, mistrz i malarz farb. —

Morze — to duszy ludzkiej ocean i głąb
A myśl — to smuga światła biegnąca pod fale.
Coraz dalej i dalej w szkarłatne korale
Pod wody zielonawej kryształowy zrab.

Choć się potęgą widzi i za wielką ma —
Myśl nie przeświecili ducha mistycznej natury.
I promień w tęczę widma rozszczepion u góry
Z kropli na kroplę lecąc, nie osiągnie dna. —

Między żywioły władca w konchę tryton dmie
Za krasnorosty, blade meduzy wypędza.
Wiatrom mgły chłostać każe, kiedy deszczu przędza
W bicze splecione tęgie, po bałwanach tnie.

Mroczna otchłań u spodu nie doznaje burz
Milczący granat w skalne przekuty masywy
Wierzchem spienionym niesie fal rozdęte grzywy
A skarbow — sercem czuwa — nieśmiertelny stróż.

1941-1944?

Wyszli porankiem, kiedy różami świat trwał przejęty
I zórz blaskiem oblany i rosami zmoknięty
Wyszli z brzemieniem kos na ramionach w cichym milczeniu
Bo chaty po znoju stały nieme i pióropusze
Dymów nie wzlatwały nad dachy w sennym opóźnieniu
Zaś gwary głosów dziecinnych echem nie wdaryły się w głąbę.

I stało się, że w ostrzach kos przejrzało się słońce
Gdy równocześnie hymn na łąkach zanuciły dzwońce
Łąki, co ziela bujnego spływają ku rzece
Niosącej swoje wody na młyn przy zakolu,
Pieśń — w której ptaszek Boskiej oddaje opiece
Siebie, swą dolę i gniazdko usłane gdzieś w polu.

Rzędem stanęli jeden przed drugiego kosiarze
Słońce weszło promieńmi swymi wyłaca im twarze
I drzy na rosach gęsto rozsiadłych po trawach. —
Co z chrzęstem przytłumionym grzywą wnikają pod kosy
W oddali powietrze drga całe w ognistych kurzawach
A wiatr chybki nad wodą częściej wierzbow włosy.

1941-1944?

Pierwszy raz z wami będę wieść rozmowę w języku
I słowie nie codziennego użytku, lecz szyku
Psuć nie wolno. Bowiem u wieszczy jest zapożyczzone
I tajemnicę stąd ma wielką, lecz ją odkryję,
Ze słowo niestety w banku na drobne zmieniono
Gdyż samobójcą być — znaczy pod topór kłaść szyję. —

Pytacie wszak, kim jestem; nie chcę taić przecie
Imienia, przynależności i tak się dowiecie
Od wiatru plotki, co z nieprzychylnych stron mi wieje
— Jestem więc częścią jeno społeczności glinianej,
A jeśli skromność odrzucić — ludzkości nadzieją,
Czyli po prostu ekstraktem — często głupstwem zwanej.

A może jedną z tysięcy, w mrocznej karawanie
Gwiazdą błękitu, wzrosła tam, na Bożym planie,
A może nikłym śladem w pustyni wielbłąda,
gdzie Deneb lot Cygnusa drodze mlecznej znaczy. — —
— A może wreszcie Narcyzem, który twarz przegląda
W zwierciadle źródła i boskim widokiem się raczy. —

O nieprzywykły widzę jesteś czytelniku
Do górnołotnych powiedzeń. — Jak ja do krupniku
Kiedy ambrosję na co dzień piję ze strumieni
Bogowie chwalą swego, co myśli ... lecz cicho! —
Pychę poety, bo widzę żeście zadziwieni
A po cóż z uśpiania budzić, gdy nie czas, złe lichu

Z kolei zadasz pewno pytanie, czym jest gwiazda
Wschodu lub zachodu nieba. — Ja sądzę, że gazdą
który w żywota jest zawsze południu, dojrzały
Do swych zadań — choć sabat odprawują wśród wycia
burze i wichry (cne wrogii) — znad wysokiej skały
On zawsze pasie gwiazd trzodę baranią z ukrycia. —

1941-1944?



„Doskonałymi bądźcie” —
Powiedziane jest wszystkim ludom
od Niego — „jako Ojciec Mój”. —
„Doskonali, doskonałości się kłońcie
zawierzać cudom. — — —
I znój.

I złości tajemne, wiecznie żywe,
Gorejące jadem,
— — Prawdziwe: — — —
— Daleko, daleko, idąc po rowach bagnistych
Rzućcie za siebie, — —
Jak niepotrzebne dla dusz
Na pogrzebie: —
— Paciorki łez uroczystych" ...

— „Patrzcie!! — —
— cień gołębiczy na głowy płynie
I zapach rozmodlonych róż
Kolumną po równinie, — — — —
Coraz wyżej, wyżej, ku górze,
— Przez mleczny kurz, — —
Wyłom w aniołów chórze
woń uczyniła róż. — — — — — — — —

— — — Pójdźcie miłością do Mnie,
A dam wam zbroi moc: —
Miedziany słońca kask
I gwiazdy spiż. — — — —
— — Synu, co czuwasz niezłomnie,
gdy innych sen pobłądzą
Przez wszystką noc. — — —

— — Którego zgrai wrzask
Nie budzi z odrętwienia —
A krzyż ... — —
Obrazem grozy, —
Nie wstrząsu w lęku cierpienia! — —

— — Dam tobie, —
Ogrodnik Boski,
— Owoc doskonałości: —
— Ognistej — płatek róży: — — —
Co wzrosła na świętych grobie
Z serca purpury
I pobielałych kości! — — — —

1941-1944?

Czas, by nadszedł mąż dzieł i uczył kochać piękno
A gdy wszędzie, niech przed nim narody uklęką
On zaspanego konia żądłem prawdy utnie
(Jak Sokrates w „Obronie” rzekł był o Atenach) —
I może jedną też strunę zatarga okrutnie
Tę — która, każdy ma skrytą w doczesnych domenach.

I umiłują tworzywo, wszyscy piękno żywe
Inną Lety falę, fałszów koło krzywe.
Najmniejszy z nich, jeśli prawdę głosi
[jeden wyraz nieczytelny] czerpie
Piękno z Bożych natchnień źródła, gdy szuka w krynicy
Jasnego odbicia jak słońce na Księżycu sierpie
Z prochu podniesion być może na godność stolicy.

Dość już dość będzie głosu w pustyni szakala
Którego nieprzyjemna strona dla ucha jest skala —
Zbyt długo przed tym samym żłobem stać kazano
Więc pytam czemuż ruszymy poetę ten sobie
Miał sianem zwiędniętym sypać wieczorem i rano
Małego epitafium nie skreśla na grobie —
Koniec wieńczy dzieło. Ja chcę na końcu przysłowie
Jako kropkę po zdaniu — ciszę po rozmowie —
Kończę nie żeby w inkaucie schło mi złote pióro
Ale mój miły, jak głosi lekarska recepta
Pigułek reformackich weź półtorej z górą
Nic więcej i na tym kończę me koncepta ...

Żale listopadowe chmur lotnych
mówią, że Chrystus był równie samotny
i zbiałymi usty —
— dalom niósł szept: „Boże, czemuś mnie opuścił?”
— — każdy jest roku świt
na miękisz płyt rytuje cienie
Geniusz w pochodzie lat

A gdy zawoła nań imieniem —
Blok się rozemknie, złom jednaki
Trzepocząc skrzydłem — jako ptaki
I marmurowych piór obręcze
Wirują — miękki śniegu puch
Raz wtóry — na mogiłnych płytach w męce
staje oporny duch. —

I się poczuje człowiek obco
Gdy wyczuliła go samotność: —
(I wnet poczuje, że szedł w obcość
człowiek — gdy skruszy go samotność!)

1941-1944?



Tańczą fale ... — Zielone migocą treny
I szafirowe
woale miękko płyną
haftem wypukłym
W srebro jak łuski syreny
mieniące ... — — —

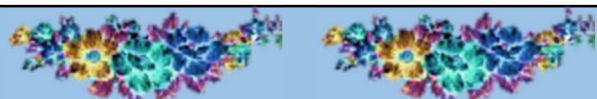
— — — I drząc, stopą — granitowe
musnę łożę, — niebacznie
I na kształt rakiety — głębią
wystrzeli fala tysięczna,
Tor świecić się
Zacznie. — — —

Niemy z podziwu sumak
nad brzegiem, —
Patrzy ku estradzie. — — —
I chciałby też być tancerzem ... — — —
— — Poskoczyć brzegiem
do fal, — — gdzie rumak
Słonka w paradzie — —
— grzywą trzęsie
A na nim rząd brylantem sadzony ... —
Lecz zapomniano w zamęcie o tem:
— — Że oczekując drzewo
Pieśniarz ... wzgardzony. —

Zaszumiały trawy: — —
„Słysz siostró, słysz siostró
Biedny, — samotnik na brzegu, —
Nie bądź dlań ostrą — — —
— — Pierzaste palce
Smutno zwiesił nad wodę ...
— — Minuty, godziny
uciekają ... nam zeszytniały
ramiona ...
Jemu — pień nagi kładą

— — „Świtezianki litosne
Ważki złotolite, — —
dajcie skrzydeł duszy żalosznej,
— — przeżytej!” —

1941-1944?





Lepką żywicy patoką stężale bierwiona
Z leśnych w czas niegdyś moczary, wyszarpięte łona
Dzisiaj znowu ożyły i w płomień rozkwity
Niesie blaskiem po ścianach drgające poświaty.
Smutny szerniały kominek przez długie miesiące
Milczał, by teraz skupić w sobie ognisko tętniące
Zgodę tłumacząc śmigłych sosen rozhowy —
I mowę kniei przetyka w płomienia kolory.
Ogień pryska i szumi, gniewu trąca struny
Chciałby wicherów nad puszcza przypomnieć tabuny
Raz po raz z trzaskiem pękają przydługie polana
Jak gałąź drzewa kruchego przez orkan łamana
I sypią z głębi snopami na mroczne pokoje
Drobne dzieci wulkanu, złote iskier są roje.



Płynie tęskna rozmowa, wszyscy w ogień wpatrzeni
Snują przędzę wspomnień z uchodzących gdzieś cieni
Światła czynów minionych świecą jasne nad mroki
Z żarów czynów bohaterstwa mocy czerpią uroki
Zda się siłą ożywion, kształt co przegrał, wciąż lichy
Serce dzwonem, a spiżem rytm uderzeń słów cichy.

Już wstali, idą do drzwi, cień przed nimi się ślania
Ktoś się żegna i płacze. - W strasznej chwili rozstania
Może nigdy się zwykło pytać myśli kryjomej
Może nigdy nie ujrzym rysów twarzy znajomej —
Milkną głosy zakrzepłe w stronę jutra [jeden wyraz *nieczytelny*]
Przy kominku jasności, nagle ciszą zasiadły. —
Lecz nie, już nowe ze dworu wplątują się gwary
Zew wiatru nocą wzrosły nad nagie konary
Zgrzyt żwiru pod kołami, suche stuki podkowy
Gdy o kamień zahaczy lub okrucz betonowy
I pieśń mgłami zasnutą pokutników jesiennych
Snuty mroków mar błądzących spod otchłani bezdennych
Szum jęki [jeden wyraz *nieczytelny*] bije w szyby przymglone
Ktoś wstaje, by nad oknem zapuścić zasłonę.
I wiatr w tańcu hulaszczym do komina zapada
Tłumiąc ognia rozblaski, znów się cicho wykrada.

1941-1944?



Wspomnienie o Krystynie Budzyńskiej

Krystynę Budzyńską (pseudonim konspiracyjny Anna) poznałam na prowadzonym przez nią kursie sanitarnym. Zajęcia odbywały się w różnych punktach Warszawy, m.in. przy Pl. Krasińskich 5. Obie należałyśmy do tej samej jednostki Armii Krajowej — do oddziału „Baszta”, batalionu „Bałtyk”, który następnie przybrał nazwę „Olza”, kompanii 01 Rejonu Mokotów. Początkowo łączyła nas z Anną tylko zależność służbowa, później coraz serdeczniejsza przyjaźń. Bywałam u niej w domu, poznałam jej rodzinę. Gdy wskutek inwigilacji Gestapo moje mieszkanie zostało „spalone”, znalazłam schronienie w domu Anny, która po koleżeńsku podzieliła się ze mną tym, co miała — pożywieniem i odzieniem.

Anna brała czynny udział w działalności konspiracyjnej i niepodległościowej. Pełniła funkcję łączniczki porucznika Zbigniewa Hecolda (pseudonim Zbójnik), współpracując z panią Jadwigą Kuczyńską. Będąc pielęgniarką dyplomowaną, Anna prowadziła kursy szkolenia sanitarnego na różnych poziomach. W jej domu zorganizowano naukę posługiwania się bronią. Podczas ćwiczeń z bronią, które odbywały się w podwarszawskich lasach, Anna pełniła funkcję tzw. asekurantki sanitarnej. Włączyła się w akcję niesienia pomocy rannemu oficerowi przybyłemu z Anglii i zrzuconemu na teren Polski. Był on ukrywany przez Armię Krajową początkowo w Milanówku, następnie w Warszawie w domu przy al. Wojska Polskiego 10. W warunkach konspiracji Anna przez dłuższy czas chodziła pod ten adres opatrywać rannego, którego pielęgnowała aż do wyzdrowienia.

Anna była odpowiedzialna, zdyscyplinowana, odważna. Mimo młodego wieku bardzo ją szanowano i cieszyła się dużym autorytetem wśród starszych od siebie. Za działalność konspiracyjną została odznaczona Krzyżem Walecznych.

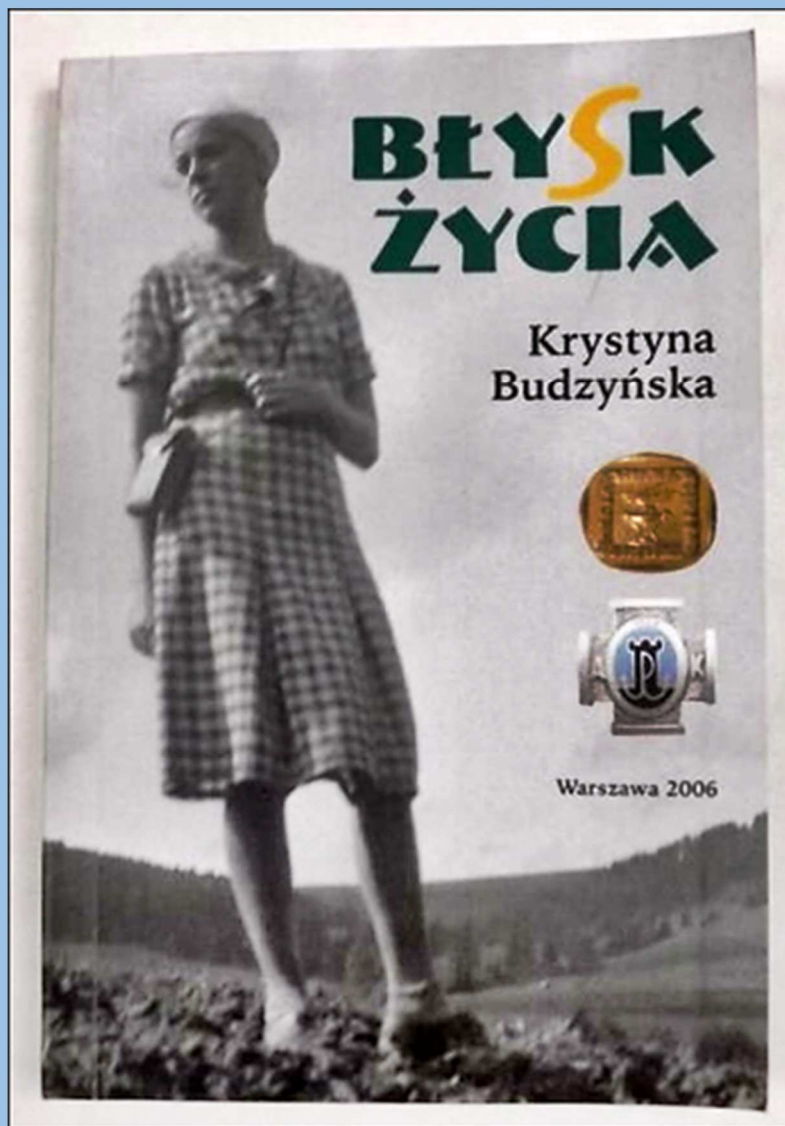
Wspominam Annę jako osobę zwykle poważną i skupioną, a także delikatną i wrażliwą. Anna posiadała uzdolnienia artystyczne i plastyczne, chętnie rysowała i rzeźbiła w glinie. Pokazywała mi swoje prace rysunkowe i rzeźby: głowy, postacie zwierząt, wazony. Narysowała mój portret i podarowała mi go z okazji imienin. Portret ten zaginął w czasie Powstania, podobnie jak większość rzeźb.

Nie są mi znane bezpośrednie relacje o ostatnich dniach i chwilach życia Anny. Wiadomo jedynie, że jej los związany był z przebiegiem walk powstańczych na Mokotowie. Z chwilą wybuchu Powstania Anna stawiała się w wyznaczonym punkcie pełnić służbę łączniczki i pielęgniarki. Już pierwszego sierpnia oddział „Olza” został rozgromiony na Fortach Mokotowskich. Rozbity został również inny ważny punkt oporu — na Wyścigach, skąd żołnierze-Kompanii „K” zdołali wycofać się w rejon Kabat i Chojnowa. Niewielkie grupy żołnierzy działały jeszcze w rozproszeniu na obszarze rozciągającym się pomiędzy zwartą zabudową dzielnicy Mokotów a Fortami Mokotowskimi. Wiadomo, że w pierwszych dniach sierpnia grupa, w której składzie była Anna, otrzymała polecenie udzielenia żołnierzom Kompanii „K” wsparcia wojskowego i sanitarnego, i wyruszyła w tym celu w stronę Kabat. Będąc w nieosłoniętym terenie nieoczekiwanie trafiła pod ostrzał z broni pokładowej samolotu. Przypuszczalnie nikt nie ocalał. Poległych pochowano we wspólnej mogile w Lasach Kabackich. Ciała Anny nigdy nie znaleziono. W chwili śmierci Anna liczyła 22 lata.

Teresa K. Kłazyńska z d. Królikowska

[Krystyna Kłazyńska z d. Królikowska, ps. Teresa, była łączniczką ZWZ AK, dowódcy II Batalionu Pułku „Baszta” AK, ppłk. Witolda Anatola Obarskiego-Białynowicza, ps. Reda.]

Warszawa, kwiecień 2005 roku



<https://www.1944.pl/powstancze-biogramy/krystyna-budzynska,4942.html>